# ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok I. Warszawa, dnia 4 grudnia 1909 r. № 49.

Wacław Gąsiorowski.

# EMILIA PLATER.

36

Powieść historyczna.

Hrabianka, która, otulona płaszczem, pod resztką strzechy, czuwała dotąd nad chorą a wyczerpaną Anetką Prószyńską, zerwała się szukać Północa. Boć on jeden zdolen był umniejszyć klęskę, wynikającą ze straty czasu, on jeden, jako znający wskróś i okolicę i ludzi mógł dokonać poselstwa, od którego całe powodzenie planów Emilii zawisło.

Tak, bo nie dość było iść na Dyneburg, nie dość stanąć pod murami fortecy, trzeba było jeszcze pamiętać, że warunkiem zwycięztwa było, aby pierwszemu strzałowi powstańców odpowiedział bunt wewnętrzny, bunt szkoły podchorążych. Więc do nich należało dotrzeć i uprzedzić ich o dniu i godzinie.

Aliści nie łatwo było wykryć śród leżących pokotem telszewskiego szlachcica. I hrabianka możeby przed świtem nie znalazła go, gdyby nie Pociocha, która wskazała jej na stojący między kosynierami tarantas.

Północ na zawołanie Emilii jął gramolić się a sumitować, jako cale sprawiedliwem mu się zdało, aby nieprzyjacielski oficer ustąpił miejsca człekowi starszemu wiekiem a nienawykłemu do symulowania żaby w błocie i jako oficerowi na dobre to wyjdzie, bo mu zatwardziałość niechybnie na wilgoci zmięknie.

Hrabianka, nie bacząc na wywody Północa, zwierzyła mu się z zamysłem.

Szlachcic telszewski w jednej chwili się rozczmychał.

— Hm-hm! Dyabłu w gardło zajrzeć, języka po drodze zbierać, patrzeć prochu i broni!... Niechże będzie!.. Jeno warunek, że mi wolno kompanię dobrać, tarantasu zażyć i oskubać nieco niewolnika, bo prostą drogą nie trafi.

Emilia nie wchodząc w szczegóły, bez wahania przystała na wszystko, aby fantazyi szlachcica się nie sprzeciwiać.

Północ żwawo zabrał się do czynienia przygotowań i takich, że gdy nareszcie tarantas wytoczył się z obozowiska a telszewski szlachcic zjawił się przed hrabianką, dla odebrania ostatnich instrukcyi, Emilia nie mogła powstrzymać się od okrzyku zdumienia. Północ przedzierzgnął się w podpułkownika inżynierów rosyjskich.

— Ależ waszeć snadnie możesz się zdradzić!

— Nic, miłościwa hrabianko; paszporty akuratne mam w zanadrzu, kuczera mam, forysia mam i babę do pomocy mam. Niech trzech obwieszą, czwarta podoła. Mundur nieco przyciasny i majtczyny wilgocią napęczniałe... ale nic sobie, pod płaszczem ujdzie.

Północ jeszcze garścią żartów sypnął, do tarantasu wskoczył i odjechał.

Ta maszkara atoli przypomniała Emilii o niewolniku, z którym coś należało postanowić, a którego, obranego teraz z odzienia, nie godziło się poniewierać.

Imć pan Godaczewski upierał się wprawdzie, aby, bez długich korowodów, i tego więźnia, i jegrów, żywcem pojmanych, ołowiem potraktować; lecz głos ten nie znalazł posłuchu.

Najsprawiedliwszem zdało się hrabiance wziąć od niewolnika zaręczenie, iż walczyć nie będą z rewolucyą i wolę im dać. Jeno że na razie trzeba było jeńców zatrzymać parę dni, aby uniknąć przedwczesnych wieści o stanowisku i liczbie oddziału.

Na ten koniec zapadła uchwała, aby jegrów do Dusiat panu Władysławowi pod straż odesłać. Ale juścić uchwały tej nie można było stosować do oficera inżynierów, uwięzionego przez Buchowicza, na drodze z Uciany. Oficer znaczny wszak własnem poczuciem honoru dawał zupełną rękojmię.

W tej myśli hrabianka nakazała uwolnić z powrozów oficera, zaopatrzyć w odzież, nakarmić, zaczem stawić przed sobą dla złożenia parolu i stwierdzenia go podpisem.

Kiedy jeńca wprowadzono pod strzechę, kędy mieściła się zaimprowizowana kwatera Emilii, ta,

zajęta rozpatrywaniem ponownem papierów, odebranych oficerowi, skinęła na Stęgwiłłę, aby rotę przysięgi uwolnionemu odczytał. Gdy Stęgwiłło skończył, hrabianka odwróciła się ku jeńcowi, aby go zapytać, czyli deklaruje się dotrzymać słowa. Lecz zaledwie rzuciła okiem w stronę jeńca, zatrzęsła się ze wzruszenia. Jeńcem tym był Dallwig...

Równocześnie zmęczona, apatyczna twarz tego ostatniego zagrała przerażeniem.

— Więc to pani, pani tu!— wybełkotał po francusku baron — pośród, pośród tych szaleńców!!..

— Pośród współbraci—poprawiła dumnie Emilia, odzyskując władanie.

— Na Boga! cóż za myśl desperacka mogła panią skłonić! Wszak cały ten bunt jest obłąkaniem, jest samobójstwem!.. Od Królestwa odcina was armia... druga armia nadciąga od wschodu... Gdyby, gdyby nawet cud się stał, to jeszcze na zniweczenie go będą prusacy! Na wiatr nie powiadam. Żeby, żeby błysk nadziei był, to, wierz mi pani, ja pierwszy, tak, ja pierwszybym się nie zawahał...

— Nie wątpię, baronie... Czynisz słusznie, że oświadczasz się za tą racyą, za którą widzisz większą siłę...

— Źle mnie pani sądzi... Zażądałem sam przeniesienia do Bobrujska, żeby nie brać udziału w walce, żeby nie iść przeciwko tym, których nie miałem i nie mam za nieprzyjaciół. Obowiązek nakazywał mi pożegnać generała Szyrmana. Stąd moja wycieczka z Dyneburga do Uciany...

— I raporty dla komendanta fortecy.

— Nie mogłem odmówić ich przyjęcia... A potem, zdawało mi się, iż im energiczniej, im szybciej garnizon wystąpi, tem mniej będzie ofiar daremnych!.. Z Jeziorosów obiecywałem sobie zboczyć na Iłłukształ, na Liksnę, pożegnać to, co nigdy nie przestało być...

— Czy zrozumiałeś pan rotę odczytanej tu przysięgi?—przerwała bezdźwięcznym tonem hrabianka.

— Przysięgi! Pani, przez litość, wysłuchaj mnie. Nie daj się zaślepieniu! Najzacniejsze uczucia tobą miotają, ale uczucia, które jeno zgubę, jeno nieszczęścia, jeno los straszny mogą ci zgotować!.. Nie samolubstwo mówi przeze mnie. Niczego dla siebie nie pragnę! Uciekaj pani, ratuj się, póki czas! Jednego Szyrmana starczy, aby was rozbił, aby w pień wyciął! Śmierci się nie boisz!?.. Lecz zważ, iż w odmęcie bitewnym na kobietę czyha nie tylko śmierć, ale najpierw, gorsza od niej, hańba!.. Nie wolno ci opuszczać tych obłąkańców, nie wolno porzucać?.. Ha, więc daj mi zostać z nimi, a dokąd każesz, powiodę i parolem szlacheckim ręczę, iż żywcem nie dam się wziąć, iż z bronią w ręku zginę, byleś pani ocalała, byleś uszła...

— Nie wolno mi przyjąć takiej ofiary.

— Bo pani nie wiesz, nie znasz całej prawdy! Rozkazy są wydane, rozkazy nieubłagane, bo prawo wojenne musi być nieubłaganem. Na pierwszą trwogę o buncie, ruszą kolumny wojska, ruszą, aby z ziemią równać sioła i miasta, aby każdy ślad powstania do rdzenia tępić, ruszą, aby nikomu nie przebaczać, aby ogniem i żelazem nawet cień oporu strawić, aby w gruzy i popioły zamienić wszystko! Pragniesz pani dobra, szczęścia, wolności swej ziemi ukochanej, a chcesz przyczynić się, aby wysączyć z niej ostatnią kroplę krwi rodzajnej, aby ziemia ta na wieki wieków stała się jałowem cmentarzyskiem!

— Nie, baronie! Chcę, aby, jeżeli nie sądzono nam wywalczyć swobody, chcę, aby z krwi i popiołów, które jeno wróżysz, narodziła się potęga nad potęgami, aby z mogił i cmentarzy po wiek wieków szedł ku ludowi zew wyzwolenia!..

Dallwigowi skurcz bolesny twarz wykrzywił.

— Wybacz pani, iżem śmiał mniemać przez chwilę, że słowo moje może u ciebie znaleźć posłuch!..

Hrabianka ukryła w dłoniach rozognioną twarzyczkę. Dallwig milczał złamany. Przytomna tej rozmowie starszyzna poglądała na siebie ze zdumieniem.

Aż w oddali zagrała pobudka strzelców owsiejowskich, a tuż za nią chór mocnych głosów podjął z zapałem:

— Dabar Lenkay neprapule!

Emilia odsłoniła twarz. Oczy jej gorzały teraz, rozfalowana pierś zdawała się chwytać dźwięki oddalającej się pieśni, a napawać się nią, krzepić.

Dallwig poruszył się. Na ustach zawisły mu nowe zaklęcia.

— Gdybyś pani...

— Nasze drogi nie od dziś się rozchodzą. Słyszysz, baronie?!.. To mój zew jedyny! Nie znam nadeń silniejszego!.. Mości Stęgwiłło, weźmiesz od pana oficera parol według regulaminu.

## XII.

Oddział hrabianki już wtóry dzień w Sołokach obozował, nie mogąc uporać się z nadciągającym wciąż ochotnikiem, a nie chcąc zaniechać niczego, coby jego ubogie siły mogło pomnożyć,—gdy niespodziewanie, pod noc, przybył foryś, który był Północa tarantasem z pod Deguci wywiózł.

Z poplątanych wiadomości forysia wynikało, że Północ, zbałamuciwszy w drodze po zaściankach i nie mało, dzięki swemu przebraniu, gwałtu przyczyniwszy, ugrzązł w Jeziorosach. Stąd babę i drugiego kompana gdzieściś wyprawiwszy, sam luda jął zbierać i sposobić. I jako wszystko składało się pięknie, bo do Jeziorosów ktoś z Imbrodów przywiózł nowiny o pobiciu okrutnej armii przez dusiackich, więc i jezioroskim na gwałt ochapiało się wojowanie,—i jako Północ, napotkawszy znajomka, co w Iłłukszcie gospodę trzymał, zmrużył sobie po poczęstunku,—i jako ćma piechoty spadła z wieczora do Jeziorosów, całą rewolucyę w dyby wzięła, a szlachcica telszewskiego wieszać będzie, jeno świtu czeka.

Foryś prawił jeszcze o dwóch generałach, z których jeden szczególnie srogo Północa potraktował, ale nikt ze starszyzny dalszych relacyi nie słuchał. Hrabianka bowiem ani momentu nie pozwoliła nikomu uronić.

Nieprzyjaciel był w Jeziorosach,

zagradzał drogę do Dyneburga, więc co tchu należało przeciw niemu dążyć, aby go zaskoczyć, aby nie miał czasu rozeznać pozycyi, przysposobić się do ataku, aby cały zapał powstański na szalę zwycięstwa rzucić i nowem zwycięstwem większy jeszcze zapał rozniecić.

Zresztą ruch ten był nie tylko taktycznie doskonałem posunięciem, lecz był i przymusem. Trzymilowa zaledwie przestrzeń dzieliła Sołoki od Jeziorosów. Cofnąć się — znaczyłoby zbliżyć się do Szyrmana, co gorsze, wyrzec się planu działania i całą połać pewnej ziemi wydać na łaskę wojennego porachunku.

Wymarsz otrąbiono natychmiast. Kawalerya, podzielona na plutony, wyciągnęła przodem, wysuwając rekonesanse. Emilia sama wiodła strzelców, Stęgwiłłowie przewodzili kosynierom i nowouformowanym pikinierom.

Pochód odbył się pomyślnie. Ta część traktu dyneburskiego, na wiosnę nowowymoszczona, nie dała się roztopom. Noc, choć posępna, południowym oddychała wietrzykiem. Deszcz tu i owdzie zawadził smugą o powstańców, lecz ciepłą smugą.

Na rozświcie, już w pobliżu Jeziorosów, nadszedł raport Buchowicza z rekonesansu. W miasteczku były dwie kompanie piechoty liniowej, lecz snadź zadufanej, bo, według kmiecia, który aż do rynku prześlizgnąć się zdołał, straży licho gdzie widać, chyba pod burmistrzówką, kędy oficerowie kwaterują, a gromada pojmanego luda nędzy opłotkami ciśnie się a zawodzi z desperacyi.

Hrabianka po naradzie z Desztrungiem, który pomimo ciężkiej rany wlókł się na wózku za oddziałem, rzuciła rozkazami.

W pół godziny niespełna, zanim wschód różami usłał drogę słońcu, piechota powstańska zrównała się z osadzoną w miejscu kawaleryą, połamała się z nią na dzwona, podkową objęła miasteczko i dała sygnał do ataku.

Atak był wściekły, szalony, a przytem, choć wystrzałami karabinowemi placówek zapowiedziany, tak karny, tak w wykonaniu ścisły, że pułkownik Daszkow stracił głowę. Toć wyprawiono go z fortecy dyneburskiej na poskromienie zamieszek, na rozpędzenie wichrzycieli nieledwie że widokiem żołnierzy, a tu naraz waliła nań sforna ciżba jakiegoś pstrego wojska, a tu cała wszczynała się bitwa! Na domiar, podpułkownik Werculin, który na audytora do wodzenia się z buntownikami był mu przydan, spił się sam i dwóch poruczników ululał.

Daszkow atoli nie dał za wygrane. Nie od parady krzyż znaczny za turecką kampanię skrzył mu się pod halsztukiem. Porwał za pałasz i, dopadłszy tarabanów, zbór bić kazał. Kompanie jako tako jęły się formować i bodaj że pełnym szykiem opórby mogły uczynić, gdyby nie ów atak wciąż nieustanny, nieobliczalny dla pułkownika, wtłoczonego wraz ze swoimi żołnierzami w gardziel rozrzuconych bezładnie domostw.

Więc po pierwszej szarży Kuczewskiego, runęła druga Buchowicza i tuż trzecia Stęgwiłły. Ledwie ta przeleciała po pierwszych plutonach piechoty, ledwie ten i ów z żołnierzów zdołał ładunek odgryźć a panewkę podsypać, już strzelcy owsiejowscy plunęli siekańcami, już zasmucili kilkunastu.

Daszkow przecież nadludzkim wysiłkiem potrafił zdemoralizowanego żołnierza sprawić. Jakoż, w takt tarabanom, ogień piechoty wnet salwami rzygnął i niechybnieby przetrzymał tyralierkę owsiejowskich, — gdyby nie nowa szarża i tym razem waląca na kark Daszkowowi, i gdyby nie atak równoczesny kosynierów, którzy od boku, z za domostw, wżarli się strasznemi brzytwami w nieszczęsną piechotę.

Daszkow padł, podcięty kosą. Tarabany umilkły. Jeszcze kilka strzałów huknęło, jeszcze raz zachrypiał głos starego feldfebla, a po tem już jeno zgiełk i łomot tępy, a dalej jeno uganianie się za uchodzącymi zbiegami.

W kilka chwil jęki rannych i konających zmieszały się z okrzykami radości uwalnianych przez pana Godaczewskiego więźniów na burmistrzówce i wylegających zewsząd mieszczan jezioroskich.

Był atoli człek, który, miast się cieszyć z rozcięcia postronków, co mu boleśnie ciało rznęły, zerwał się, niby dzik raniony, i rzucił na opatrywanie krwawego żniwa.

Człekiem tym był Półnos. On to, pomny batów, któremi go na znajomości i przebrania uczczenie poczęstował podpułkownik Werculin, biegł szukać swego dręczyciela.

DCN.

---

**Władysław St. Reymont.**

# MARZYCIEL.

46

List przyszedł rano, pierwszym pocztowym i Józio przeczytał go na razie bardzo pobieżnie.

— Klituś bajduś, módl się za nami! — szepnął ironicznie, zdał służbę i wyszedł na peron.

Dzień robił się cudny, słońce wyniosło się z poza lasów i świeciło coraz cieplej, złociściej i promienniej, białe szrony pokrywały ziemię runią rozmigotanych brylantów, drzewa stały w srebrzystych przyodziewach, niebo wisiało czyste i lśniące, niby toń, przesnuta błękitem i cichością; w przejrzystem, rzeźwem powietrzu dymy parowozów kłębiły się białemi, spiętrzonemi chmurami, głosy leciały rozdzwonione radością, wrzeszczały dzieci, psy szczekały, jak oszalałe, nawet pociągi zdały się przelatywać prędzej i weselej, otwierano na oścież okna, i ludzie z rozkoszą wystawiali twarze na wiosenne ciepło.

— Panno Marychno, wiosna na świecie! — krzyknął Józio, stając przy pustym jeszcze bufecie.

Buchnął na niego cały obłok kamforowych zapachów, nim wysunęła z poza szafy głowę.

— Co mi tam wiosna, kiedy mnie bolą zęby! — jęknęła płaczliwie.

— Nie będę dzisiaj na obie-

dzie. Dostałem zaproszenie do prezesa!

— A Soczek mówił, że pan będzie dzisiaj u nich! Podobno już z p. Zofią zgoda?

— Wcale się na nią nie gniewałem! Któż to znowu puścił taką plotkę?

— Soczek tak się użalał na pana przed każdym, aż się tem zainteresowała cała stacya...

— A niechże ich wszystkich razem wezmą dyabli!—zaklął i wyszedł.

— To bydlę roztrząsa swoje żale przed pierwszym lepszym, a mnie zato wezmą na języki!—myślał zirytowany, wchodząc do mieszkania, i ze zdumieniem spostrzegł, że było już sprzątnięte, a na stoliku stał rozkwitły hyacynt śnieżno biały i obok leżała koperta z całującemi się gołąbkami. Jeszcze nie zdążył się rozebrać, gdy Magdzia wniosła herbatę.

— Pani kazała przynieść, bo pewnie pan jeszcze nie pił.

— Powiedz pani, że bardzo dziękuję, bardzo!

— A dzisiaj na obiad to będzie wszyćko, co ino pan lubi...

— Bardzo mnie to cieszy. Ale co się to stało, żeś już posprzątała?

— Hale, pani nie dała mi się tknąć niczego, a ino powiada: Sama sprzątnę! Druga, to i dla rodzonego chłopa takby się nie trudziła! Ale moja pani la panowego przyjacielstwa toby zrobiła nie wiem już co!

— Widzisz, nie spałem całą noc i chciałbym się teraz położyć!—spróbował jej przerwać.

— Dyć mój pan zawdy rano prawie gołkiem spaceruje po pokojach, a mnie się nie wstyda... Proszę, pana, bieliznę praczka już przyniosła; koszule i te drugie rzeczy tak były miejscami pociarachane, że je moja pani ponarządzała, schowałam je do komody!—ciągnęła niczem nie powstrzymana. Żebym ino poradziła rozpowiedzieć wszyćko, co ta moja pani wyprawiała przez ten tydzień, toby panu włosy stanęły na głowie!

— Mów, Magdziu! Mów, najdroższa, może prędzej zasnę!—zasyczał tak słodko, że się rozgniewała, trzasnęła drzwiami i z furyą zlatywała ze schodów.

Ale Józio się nie położył, lecz tylko znowu zabrał się do czytania listu od Buczka. List był długi, na ośmiu stronach i bardzo ścisłem i drobnem pismem, czytał go jednak wiersz po wierszu, uważnie i z coraz większem zainteresowaniem, gdyż Buczek z szaloną werwą i niezmiernie plastycznie opisywał przygody swojej podróży i Paryż; zwłaszcza opis Mi-carem'u był niesłychanie barwny, entuzyastyczny i porywający!

Józio czytał długo, powracając do pewnych miejsc i szczegółów po kilka razy i coraz więcej się upajał, coraz głębiej odczuwał, coraz wyraźniej widział, i coraz potężniej przeżywał to wszystko, aż w końcu list odrzucił, przymknął olśnione oczy i z nieopisaną rozkoszą pogrążył się na samo dno tych scen opisywanych, w ten chaos barw, ruchów, wrzawy i szaleństwa; tańczył na ulicach, z uśmiechem szczęścia przepychał się wskróś rozśpiewanych tłumów, gdzieś z niemi płynął i miotał się wraz z niemi w dzikich konwulsyach szalonej zabawy, śpiewał wraz z niemi, krzyczał i pił spragnionemi ustami oszałamiającą rozkosz życia!

Oprzytomniał dopiero, kiedy jakiś pociąg przeleciał pod oknami z przeszywającym świstem.

— Ja byłem głupi, a on sobie teraz używa! Boże, jaki ja byłem głupi! Głupi! Głupi! powtarzał z wściekłością, ale coraz ciszej i żałośniej, bo nagła gryząca tęsknota zaczęła mu znowu wyżerać serce i mózg. Zaskowyczał jak pies, chlaśnięty batem, i rzucał się na wszystkie strony, nie wiedząc, gdzie się schronić przed męką, jaka mu rozszarpywała duszę.

Zajrzał do swojego sanktuaryum, ale na widok resztek map i papierów, rozrzuconych na podłodze, zrobiło mu się jeszcze boleśniej, i postanowił lecieć do miasta.

Ale pani Zofia czuwała, wciągnęła go ze sieni do przedpokoju, potem do saloniku, a ponieważ Soczka nie było, to w końcu i dalej... Trafiła na dobrą chwilę, nie opierał się, było mu nawet rozkosznie oddawać się jej drapieżnej, namiętnej sile... Nie robiła mu żadnych wymówek, ale była taka rozkochana, wielbiąca i szczęśliwa, i pokorna zarazem, że wychodził od niej znacznie spokojniejszy i pełen głębokiej wdzięczności.

— Proszę się tylko nie spóźnić na obiad! Józiu!

Odwrócił się od drzwi, patrząc na nią jeszcze nieostygłemi oczami.

— Kocham cię, wiesz!—Znowu rzuciła mu się na szyję.—I nie będziesz się już gniewał na mnie?..

— Nie będę!—Aż się skurczył pod gradem jej namiętnych pocałunków.

— I będziesz mnie zawsze kochał? Zawsze? Zawsze?

— Zawsze! W każdem miejscu, o każdej porze i na każde zawołanie! Zawołał z uśmiechem i wyszedł.

Droga do miasta była czarną, lśniącą rzeką błota, zalewającego nawet trotuary, i zatłoczona wozami, że odechciało mu się cukierni i poszedł plantem kolejowym ku lasom niedalekim. Ogarnęła go przeogromna cisza pól, słońce wisiało nad nim płomienną kulą, gdzieś w przestrzeniach śpiewał skowronek, szrony spływały z drzew srebrzystemi kaskadami, pachniało wiosną. Szedł coraz wolniej, rozkoszując się ciszą, ciepłem i rzeźwem upajającem powietrzem. Budził się jakby po długiem odrętwieniu, wlokąc zdumionemi oczami po polach, które jeszcze leżały ciche, pławiące się leniwie w słońcu, w brózdach połśniewały wody, gdzieniegdzie błyszczał jeszcze płot przybrudzonego śniegn, lub stokrotki otwierały zróżowione rzęsy, gdzieś od wiosek leciały krzykliwe gęgoty i wrzaski dzieci, czasem wiatr musnął pieszczotliwie zielone pióra zbóż i sine gładzie wód pomarszczył, niekiedy wymijały go pociągi przesuwające się z chrzęstem, jak węże, wśród suchych liści.

Cicha radość pierwszej wiosny przenikała świat, radość zmartwychpowstania, święty dreszcz budzącego się znów życia...

DCN.

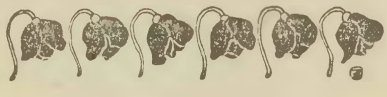

# OGRÓD ALLAHA.

49

Gdy odszedł, Domini siadła w cieniu namiotu. Z miejsca, gdzie siedziała, mogła była widzieć cmentarz arabski nieopodal, pewną ilość głazów, do połowy zasypanych piaskiem. Arab samotny błąkał się tam, modląc się za umarłych głośno, żarliwie. Czasami zatrzymywał się przy grobie, pochylał się w modlitwie, potem powstawał i znowu chodził. Głos jego nie zamilkał na chwilę. Dźwięk tego głosu był żałosny i jednostajny. Domini przysłuchiwała się tej modlitwie i myślała o ludziach bezdomnych, o tych, którzy żyli i umarli, nie dotarłszy do wrót, przez które przeszedł hrabia Anteoni. Słowa jego i głęboka zmiana w twarzy uczyniły na niej głębokie wrażenie.

I znowu spadło na nią przerażenie. Spojrzała ku głazom cmentarnym śród piasków i wyobraziła w tem miejscu, gdzie był arab, siebie... modlącą się za Androwskiego, pogrzebanego tam, ukrytego tam od niej na zawsze. I naraz poczuła: „Nie mogę zwlekać, muszę działać".

Głos starego araba zamarł w oddali; zanim atoli zamarł, Domini już go nie słyszała.

Słyszała jedynie głos, który był w niej i który do niej mówił: „Gdy kochasz prawdziwie, nie miej lęku. Idź śmiało przeciw smutkom, które, jak cień śmierci, stoją pomiędzy tobą i twoim małżonkiem. Odżoń je. Masz broń: wiarę. Użyj jej".

I zdało się jej, że przez cały czas swej miłości była gnuśną w sercu—i była małoduszną—i oto przyszła do wniosku, iż nadal nie może być małoduszną.

## XXV.

Domini postanowiła, że jeszcze tego wieczoru pomówi z mężem. Postanowiła być niezłomną, nie cofnąć się w żadnym razie. Z drugiej strony uprzytomniała sobie, jak trudne będzie miała zadanie—zadanie z powodu stałej i prawie uporczywej skrytości Androwskiego. Skrytość ta była cechą zasadniczą jego charakteru. Myślała często o niej, jak o murze ognistym, który okalał miejsca tajemne jego duszy, chroniąc je nawet przed jej wzrokiem.

Było już koło wieczora, kiedy Androwski powrócił do obozu. Na wielkie białe rozłogi piaszczyste padło żółte światło. Na małych krągłych wzgórkach wioski arabskie wyglądały urocznie. Sporo jeźdźców ukazało się od strony miasta—chłonąć rzeźkość zbliżającej się nocy. Od pustyni nadciągały karawany. Dzieci nomadów półnagie grały w korę przed namiotami, nawołując przenikliwie poprzez ciszę jasną, falującą powietrznię ku dalekim przestrzeniom, które znowu dech niosły jakiejś bladej wieczności.

Gdy Androwski zbliżył się, Domini spostrzegła, że nie miał już tej energii, która ją tak zachwyciła podczas śniadania. Szedł wolno, z głową opuszczoną. Twarz miał poważną, nawet smutną, jakkolwiek, gdy ujrzał, że go oczekuje, uśmiechnął się do niej.

— Byłeś cały czas z księdzem?—zapytała.

— Prawie cały. Krótko tylko przeszedłem się po mieście. A ty?

— Wyjeżdżałam na spacer i spotkałam przyjaciela.

— Przyjaciela? — rzekł, jakby tknięty.

— Tak jest, przyjaciela z Beni-Mory, hrabiego Anteoniego. Złożył mi tu wizytę.

Podsunęła mu fotel pleciony. Siadł na nim ciężko.

— Hrabia Anteoni tu! — rzekł wolno.—Cóż on tu robi?

— Jest u marabuta w Beni-Hassan. I wiesz, Borysie, przyjął mahometanizm?

Podniósł głowę z drgnieniem raptownem i patrzał na nią w milczeniu.

— Dziwi cię to?

— Hrabia Anteoni... mahometanin?

— Tak jest. Czy wiesz, gdy mi to mówił, czułam prawie, jak gdybym się tego spodziewała.

— Lecz... tedy on zmienił? Jest...

Zatrzymał się. Głos jego zadźwięczał goręcej, prawie okrutnie.

— Tak jest, Borysie. Czyś widział kiedy kogo, kto się zabłąkał... a potem tegoż, powracającego drogą do domu? Otóż takim jest hrabia Anteoni.

— Mówiłaś mu?

— O nas?

— Tak.

— Mówiłam mu.

— Cóż on?

— Spodziewał się tego. Przyjdzie tu, kiedy go poprosimy, by nas odwiedzić oboje razem.

Androwski wstał z fotela. W licach miał niepokój. Stanąwszy przed Domini, rzekł:

— Hrabia Anteoni jest tedy szczęśliwy, że... że wiarę tę posiadł?

— Bardzo szczęśliwy.

— A ty, katoliczka, cóż sądzisz o tem?

— Sądzę, że... ile to jest jego wiarą rzetelną, jest to błogosławieństwem dla niego.

Nie rzekł nic, lecz poszedł ku namiotowi sypialnemu.

Wieczorem, gdy jedli obiad, rzekł do Domini:

— Domini, dziś po obiedzie opuszczę cię także na czas krótki.

Ujrzał wyraz żalu gorzkiego, który wystąpił na jej lico, i dodał szybko:

— Przyrzekłem, że o dziewiątej odwiedzę księdza. On... tu samotnik. Chciał, żebym przyszedł. Nie masz nic przeciw temu?

— Ależ nie, nie. Jestem rada... bardzo rada. Skończyłeś już?

— Tak jest.

— Weźmy pled i chodźmy trochę na piasek, drogą ku cmentarzowi. Tam wieczorem spokojnie.

— Tak jest. Weźmy pled.

Poszli i przybyli na cmentarz francuski, okolony nędznym żywopłotem, w którym tu i owdzie świeciły otwory. Przez jeden z takich otworów weszli do środka, rozpostarli pled na piasku i sami legli na nim. Wieczór był cichy, i cisza panowała tu zupełna. Patrzeli na rozrzucone tu i owdzie mogiły wygnańców, którzy zmarli tu i piaskom zostali oddani. Mogiły te były zazwyczaj skromne, lecz jedna w pobliżu Androwskiego i Domini miała grobowiec z białego marmuru w kształcie kolumny strzaskanej, uwieńczonej wiecznie trwałemi kwiatami i mieszczącej te słowa rzeźbione:

*Ici repose*
*Jean Baptiste Fabriani.*
*Priez pour lui.*

Leżąc na piasku, oboje spojrzeli na ów grobowiec, jakby ruszeni wspólną pobudką, i przeczytali ów napis.

— *Priez pour lui!*—rzekła cicho Domini.

Przeciągnęła rękę, ujęła dłoń męża i przycisnęła ją do piasku.

— Czy pamiętasz, Borysie, tego pierwszego wieczoru—rzekła—w Arbie, jak ująłeś dłoń moję i przycisnąłeś ją do pustyni, jakbyś ją przyciskał do serca?

— Tak jest, Domini, pamiętam.

— Tego wieczoru byliśmy jednem, stanowiliśmy jedno... czyż nie tak, Borysie?

— Tak jest, Domini.

— Czy tylko istotnie — mowa jej była jak szept wieczorny—byliśmy wtedy jednem?

— Dlaczego mówisz: czy tylko istotnie?

— Tak jest: jednem w duszy. Bowiem to jest spójnia prawdziwa, większa, niż spójnia ciał. Czy byliśmy jednem w duszy? Czy jesteśmy tem obecnie?

— Dlaczego mi zadajesz podobne pytania, Domini? Czy wątpisz w moję miłość?

— Nie, nie wątpię. Pytam atoli. Dlaczego nie odpowiadasz?

Milczał. Dłoń jego spoczywała w jej dłoni, lecz była bezwładna.

— Borysie! — mówiła słowa okrutne bardzo powoli — nie byliśmy prawdziwie jednem w duszy. Nie byliśmy nigdy jednem. Wiem o tem.

Nic nie rzekł.

— Czy kiedy będziemy jednem? Pomyśl: gdyby jedno z nas umarło, a drugie... ktoby pozostał, pozostał z przekonaniem, że w naszej miłości, nawet w naszej miłości, był rozdział wieczny... czy zniósłbyś to? Czyż mogłabym znieść to?

— Domini...

— Tak jest.

— Dlaczego mówisz w ten sposób? Jesteśmy jednem. Masz całą moję miłość. Jesteś mi wszystkiem na świecie.

— A jednak jesteś smutny i starasz się ukryć swój smutek, swą troskę, ode mnie. Dlaczego nie możesz mi jej powierzyć? Pragnę tego... pragnę bardziej, niż wszystkiego na świecie; pragnę i muszę mieć to, i śmiem żądać tego od ciebie, ponieważ wiem, jak głęboko mnie kochasz i że nie mógłbyś już innej pokochać.

— Nigdy nie kochałem innej — rzekł.

— Byłam ci pierwszą miłością?

— Najpierwszą. Gdyśmy się pobrali, jakkolwiek byłem mężczyzną, byłem... jak ty.

Pochyliła głowę i złożyła usta na dłoni, która była w jej ręku.

— Uczyń tedy spójnię naszą zupełną... taką, jakiej nie było jeszcze na ziemi. Powierz mi twoję troskę, Borysie. Ja wiem, czem jest ona.

— Jakim sposobem?.. nie możesz tego wiedzieć — rzekł głosem złamanym.

— Tak jest. Miłość jest jasnowidzem, jedynym słusznym jasnowidzem. Powiedziałam ci już raz, czem jest twa troska, lecz pragnę, byś ty mi ją powiedział. Niemasz śród nas rzeczy pięknej z tych, które bierzemy, jedno z tych, które dajemy.

— Nie mogę — odrzekł.

Próbował usunąć swą rękę z jej dłoni, lecz Domini trzymała ją mocno. I miała uczucie, że trzyma się jakiegoś muru ognistego, który okalał miejsca tajemne jego duszy.

— Dzisiaj, Borysie, rozmawiając z hrabią Anteonim, czułam, iż jestem tchórzliwą i małoduszną względem ciebie. Widziałam twe cierpienia, a jednak nie nadążyłam ci z pociechą. Bałam się ciebie. Pomyśl o tem.

— Nie.

— Tak jest. Bałam się ciebie, twojej skrytości. Gdyś się usuwał ode mnie, nie towarzyszyłam ci nigdy. Gdybym wtedy była z tobą razem, możebym mogła uczynić coś dla ciebie.

— Domini, dlaczego mówisz mi podobne rzeczy! Nasza miłość jest szczęśliwą. Pozostaw ją, jaką jest.

— Nie mogę tego uczynić. Nie chcę. Hrabia Anteoni, Borysie, znalazł schron. Ty wciąż się błąkasz. Czyż mogę na to się zgodzić? To mnie o mękę przyprawia. To mi każe prawie nienawidzić moję własną szczęśliwość i niefrasobliwość.

Androwski zadrżał. Wyzwolił gwałtownie swą rękę z jej dłoni.

— I jam ją prawie w sobie znienawidził—rzekł z pasyą.—Znienawidziłem ją. Jam jest, jam jest...

Głos jego złamał się. Pochylił się ku Domini i otoczył jej twarz swemi dłońmi.

— A jednak chwilami jestem mocen błogosławić, co znienawidziłem. Błogosławię to teraz. I kocham... kocham naszą szczęśliwość i niefrasobliwość. Ty... ty przynajmniej bądź całkiem szczęśliwą.

— Musisz dzielić moje szczęście. Pragnę, byś je dzielił ze mną.

— To niemożebne.

— Pragnę. Musisz je dzielić. Czuję, że będziemy jednem w duszy, tak jest, może nawet dziś jeszcze, dziś jeszcze.

Androwski spojrzał głęboko poruszony. Ręce jego opadły.

— Muszę iść — rzekł. — Muszę iść do księdza.

Powstał z piasku.

— Idź do namiotu, Domini.

Powstała.

— Gdy wrócisz—rzekła,—będę na cię czekała, Borysie.

Spojrzał na nią. W oczach jego zadrgała jakaś głębia najskrytsza szczerości, czysta, rozżalona. Otworzył usta, by mówić. I w tej chwili Domini uczuła, iż — chwila jeszcze — i powie jej wszystko, co go utłaczało, a co tak pragnęła z nim dzielić. Wzrok jego atoli zagasł. Usta zamknęły się. Ujął ją w ramiona i uścisnął prawie że rozpacznie.

— Nie, nie!—zawołał.—Pragnę zachować twą miłość, pragnę ją zachować.

— Nigdy jej nie stracisz.

— Mogę stracić.

— Nigdy.

— Gdybym mógł w to wierzyć!

— Borysie!

I naraz łzy palące trysnęły z jej oczu.

— Nie mów nigdy do mnie w ten sposób! — rzekła z żarem uczucia.

Wskazała na grobowiec w pobliżu.

— Gdybyś ty tu leżał — rzekła — i gdybym ja została przy życiu, a tyś zmarł, zanimbyś mnie powiedział—wierzę w to—niech Bóg mi przebaczy, ale wierzę w to, że gdybym nawet po śmierci miała być wziętą do nieba, nawet niebo piekłemby mi było wtedy.

Spojrzała załzawionemi oczyma na napis: *„Priez pour lui"*.

— Modlić się za umarłych — rzekła szeptem jakby do siebie. — Modlić się za mego umarłego... nie, nie mogłabym tego uczynić. Jeżeli mnie kochasz, Borysie, musisz mi zaufać, musisz powierzyć mi swą troskę.

Nadeszła noc. Androwski poszedł do księdza. Domini pozostała sama. Siedząc przed namiotem, czekała na jego powrót. Rzekła Batuczowi i Uardiemu, iż nie potrzebuje już ich tego wieczoru, by nikt już nie przychodził do namiotu. Nad miastem wszedł młody miesiączek, lecz światło jego było jeszcze nikłe. Na wzgórkach piaskowych obozy zaszemrały życiem. Zalśniły ognie i dymy wzniosły się przed namiotami, które plamami ciemnemi odrzynały się teraz od rozłogu. Dokoła ognisk zasiedli kupkami ludzie, zajadając ku-ku i krwawą polewkę, przysmak nomadów. Koło nich krążyły psy węszące. Sznury wielbłądów leżały powalone na piasku, wypoczywając po trudach podróży. A wszędy, od miasta i od obszaru, unosiły się dźwięki odległe muzyki, delikatne, powietrzne kwilenia, niby głosy nocnych wietrzyków, ostrzejsze głosy fujarek i tętnienie hen dalekie afrykańskich bębnów — podłoże wszech symfonii pustynnych.

Księżyc się uniósł w górę. Światło jego się wzmogło. Domini patrzała poprzez piaski, a ujrzawszy ognie w mieście, naraz rzekła do siebie: „To jest widzenie wróżbity z piasku, które ma się w mem życiu ziścić. Widział mnie, jak tu jestem, w tem miejscu". I przypomniała sobie całą scenę w ogrodzie. postać przykucniętą, ramiona wyciągnięte, palce kościste, wykreślające szybko wzory na piasku, i głos mamroczący.

I znowu uczuła raptownie zgnębienie ducha, którego doznała niespodzianie dnia poprzedniego. Było to, jak gdyby ciężar spadł na duszę i udzielił się odrazu całemu ciału. Miała wrażenie niezmiernego znużenia, niesnaski, nawet trwogi, a potem wraz niezwykłego przypływu życia, które aż ją wstrząsało. Wstała z fotela, nie mogąc usiedzieć spokojnie. Poszła przez piaski ku drodze, którą Androwski miał wracać. Ognie miejskie i obozowisk wyglądały, jak iluminacya świąteczna. Muzyka zdała się być muzyką wielkiego wesela. Uszedłszy kilka kroków, zatrzymała się. Była na zakręcie ławy piaszczystej i mogła była widzieć dołem idący szlak nikły, który ciągnął się aż do wrót miejskich. Tym szlakiem będzie wracał niezawodnie Androwski. Będzie go mogła widzieć ze znacznej odległości, jako ciemny kształt ruchomy na bieli. Była teraz blizko miasta i mogła była słyszeć dźwięki, spływające od jego ścian strzępiastych, głosy ludzi śpiewających i nawołujących się, pobrzęki instrumentów i klaskanie murzyńskich kastanietów. Miasto było pełne uciechy, i pustynia była pełna uciechy.

Spojrzała poprzez piaski i ujrzała poruszającą się plamkę na nich, posuwającą się zwolna, bardzo zwolna, ku niej. Z tak wielkiej odległości nie można było rozpoznać, kto to był, czuła jednak, że to był jej mąż.

Gdy czarna plama na piasku nadciągnęła bliżej, ujrzała, że to był człowiek, ciężko stąpający. Miał chód jej męża. Ujrzawszy to, zawróciła. Postanowiła spotkać go u drzwi namiotu, powiedzieć to, co miała do powiedzenia, na progu ich wędrownego ogniska. Uczucie trwogi i nieśmiałości pierzchło od niej, gdy znalazła się u drzwi namiotu. Czuła teraz niemylną jedność i spójnię z mężem—i spójnia ta tego wieczoru miała się stać doskonalszą. O, gdyby stać się mogła doskonalszą!

Czekała u drzwi.

Po pewnym przeciągu, który wydał jej się bardzo długim, ujrzała Androwskiego, idącego poprzez księżycem olśniony piasek. Szedł bardzo wolno, jak gdyby był wyczerpany, z głową spuszczoną. Zdawał się jej nie widzieć—aż póki nie nadciągnął blizko do namiotu. Księżyc — mniemała, że musiał to być księżyc—udzielał twarzy jego dziwnego wyrazu, jakby wyrazu człeka zmarłego. Na białej tej twarzy oczy błyszczały gorączkowo.

— Borysie!—rzekła.

— Domini.

— Chodź tu, chodź tu bliżej. Mam ci coś do powiedzenia, coś niezwykłego.

Był tuż koło niej.

— Domini — rzekł, jak gdyby był jej nie słyszał. — Domini... byłem.. wracam od księdza. Chcę się spowiadać u niego.

— Spowiadać się!— rzekła.

— Prosiłem go o to wczoraj,— dzisiaj atoli nie mogłem jeszcze tego uczynić. Dziś mogę wyspowiadać się tylko przed tobą... tylko przed tobą. Czy słyszysz, Domini? Czy słyszysz?

W twarzy jego i w głosie było coś, co trwogą padło na jej serce. Czuła obecnie, że chciałaby go zatrzymać, by nie mówił, nie śmiała jednak—nie mogła tego uczynić. Duch jej był ponad władzą.

— Co to takiego, Borysie?— wyrzekła szeptem.—Powiedz. Może zdołam zrozumieć cię, gdy kocham tak bardzo.

Otoczył ją ramionami i pocałował, jak całuje mężczyzna, który wie, że pocałunek ten będzie ostatnim—długo i mocno, z rozpaczą miłości, która czuje, że traci nadzieję przez te usta jedyne, których dotyka. Odjął wreszcie swe usta od jej ust.

— Domini—rzekł, a głos jego był jasny i niechwiejny, prawie mocny,—pragniesz wiedzieć, co czyni mnie nieszczęśliwym nawet śród naszej miłości, nieszczęśliwym rozpacznie. Oto, posłuchaj. Wierzę w Boga, kocham Boga—i zbezcześciłem Go. Starałem się wyrzec Boga, zapomnieć Go, miłość ludzką przenieść nad miłość Boga. Zawsze atoli prześladowała mnie myśl Boga i myśl ta była moją rozpaczą. Niegdyś, gdy byłem młody, poświęciłem się Bogu uroczyście. Złamałem śluby, które-m był uczynił. Jestem... jestem...

Moc w głosie opuściła go. Przerwał na chwilę i milczał.

— Poświęciłeś się Bogu—rzekła.—Jakim sposobem?

Starał się uchwycić jej wzrok pytający, lecz nie zdołał.

— Poświęciłem się Bogu, jako zakonnik—odrzekł po chwili.

Gdy rzekł to, Domini ujrzała przed sobą w blasku księżyca de Trevignac'a. Rzucał spojrzenie zgrozy na namiot, pochylił się nad nią, uczynił znak krzyża i zniknął. Na miejsce niego stanął ksiądz Roubier, z oczyma błyszczącemi, z ręką podniesioną, ostrzegający ją przed Androwskim. Potem on zniknął zarówno — i zdało jej się, że widzi hrabiego Anteoniego, ubranego po arabsku i szepcącego słowa Koranu.

— Domini...

— Domini, czy słyszysz? Domini, Domini!

Uczuła ręce jego na kiściach swych rąk.

— Byłeś Trapistą—rzekła spokojnie,—o którym mówił mi ksiądz. Byłeś owym mnichem z klasztoru w El-Largani, który zbiegł po dwudziestu latach.

— Tak jest—rzekł.—Jam jest.

— Czemuś mi to powiedział! czemuś mi to powiedział!

W głosie jej było zamieranie.

— Chciałaś, bym ci powiedział; nie to atoli skłoniło mnie. Czy pomnisz, ostatniego wieczoru jak rzekłem ci, że Bóg musi ci błogosławić. Odrzekłaś: „Już mi pobłogosławił, dał mi ciebie, twą miłość, twą wiarę". Oto co mnie skłoniło do powiedzenia. Miałaś moję miłość, lecz nie miałaś prawdy. Teraz przyjm moję prawdę. Zabrałem ci ją. Teraz ci ją oddaję. Jest ona czarna, nie mniej daję ci ją. Domini, Domini! Możesz mnie znienawidzić tego wieczoru, wierzaj atoli w tem znienawidzeniu, iż nigdy nie kochałem ciebie tak, jak kocham obecnie.

— Daj mi twą prawdę!—rzekła.

## Księga V.
## Odkrycie.

### XXVI.

Pozostali tak, stojąc u wejścia do namiotu, w świetle księżyca, które ich łagodnie opływało. Obszar cały był już uśpiony, tylko od strony miasta z dołu dochodziły dźwięki muzyki i muzyka jeszcze niklejsza od namiotów Uled-Nail na wzgórkach piaszczystych w południowej stronie.

Gdy Domini rzekła ostatnie słowa, Androwski postąpił krok ku niej, spojrzał na nią, potem znowu odstąpił i spuścił oczy. Gdyby był patrzał na nią, nie począłby mówić.

„Domini — rzekł,—nie pragnę zgoła usprawiedliwiać się z tego, com zrobił. Nie pragnę zgoła rzec tobie tego, czego nie śmiem rzec Bogu: „Przebacz mi". Czyż można przebaczyć rzecz taką? Pragnę tylko, byś zrozumiała, Domini, co było przyczyną, żem stał się oto odstępcą, żem złamał przysięgę, żem stał się kłamcą wobec Boga i ciebie. Była to żądza życia, która zapłonęła we mnie po latach pokoju. Było to obudzenie się mej natury po latach snu. Ty, ty, Domini, możesz zrozumieć żądzę życia, która w ludziach czasami, jak potwór, powstaje i włada... i upust mieć musi. Ty bowiem, nawet ty— przy swej czystości i dobroci—masz ją, masz to pragnienie rozpaczne życia w pełni, życia prawdziwego,

GELBFISZ I JABŁOŃSKI WARSZAWA, Długa 50 (Pasaż Simonsa), I-sze piętro, wprost Bielańskiej, tel. 142-71. Skład tiulu, wstążek, koronek i pasmanteryi poleca wszelkie nowości sezonowe. Specyalność: Wszelkie dodatki dla Pań magazynierek. Sprzedarz hurtowa i detaliczna. Ceny stałe hurtowe.

życia, jakiem żyliśmy wspólnie, Domini".

Spojrzał na nią i ujrzał, że miała oczy utkwione w niego. Postawa jej była spokojna i lico nie umęczone. Nie mógł na niej wyczytać ani jednej myśli, ani jednego czucia z tych, które były w jej sercu.

„Musisz mnie zrozumieć — rzekł prawie porywczo,—musisz zrozumieć... lub ja...

„Ojciec mój, jak już ci mówiłem, zaciągnął się do kościoła greckiego, od wczesnej atoli młodości stał się wolnomyślicielem. Matka moja była angielką i gorliwą katoliczką. Matka i ojciec byli sobie całkowicie oddani, pomimo różnicy przekonań. Być może, że naczelny ów brak wiary w mym ojcu wpłynął na to, że matka w swej wierze stała się stalszą, żarliwszą. Umarł znacznie wcześniej od niej, umarł, nie zmieniwszy poglądów. Na łożu śmiertelnem mówił matce, iż jest pewny, że niema życia wtórego, że idzie w nicość i w proch. To było agonią jego pożegnania.

„Byłem wtedy małem chłopięciem, lecz pamiętam, gdy umarł, matka rzekła do mnie: „Borysie, módl się codziennie za ojca. Ojciec twój czuwa ciągle". Nie rzekła więcej, lecz ja pobiegłem z płaczem na górę, upadłem na kolana i modliłem się, starając się odgadnąć, gdzie jest mój ojciec i jak mógł wyglądać.

„Od tego dnia węzeł pomiędzy mną i matką zadzierzgnął się silniej, niż dotychczas. Miałem brata-bliźniaka, którego kochałem i który mnie kochał. Lecz on wdał się w ojca. Nie miał przekonań religijnych. Był niczem.

„Ojciec mój przeniósł się do Afryki dla zdrowia, które wymagało gorącego klimatu. Miał trochę grosza i kupił sobie znaczny obszar, zdatny do uprawy winogronowej. Włożył w to prawie całe swe mienie. Mówiłem ci już, Domini, że filoksera zniszczyła nasze winnice. Przepadło wiele pieniędzy.

„Żyliśmy spokojnie w małej wioszczynie. Nie znałem świata. Młodzieńczość moja była bezwzględnie czystą. Nie miała ona zresztą pragnień niewiadomego. Wpływ matki na mnie był silny, nie mogłaby atoli zmusić mnie do niczego. Być może, miłość moja do matki, bardziej, niźli o tem wiedziałem, powiodła mnie do drzwi klasztornych. Namiętnością życia mej matki, namiętnością ludzką, był mój ojciec. Gdy go nie stało, namiętnością jej życia stała się modlitwa za niego. Miłość moja dla matki kazała mi podzielać tę namiętność, a podzielanie tej namiętności powiodło mnie do stanu zakonnego. Jako dziecko już, byłem cały oddany modlitwie. Pomyśl, Domini— kochałem modlitwę, kochałem ją..."

Głos jego złamał się. Gdy przerwał, Domini znowu uprzytomniła sobie muzykę, płynącą od miasta. Przypomniała sobie, że wcześniej wieczorem myślała o tej muzyce, jako o wielkiem święcie.

„Postanowiłem wejść w świat modlitwy, w najdoskonalszy żywot modlitwy. Brat mój starał się odkłonić mnie od życia zakonnego. Udawał się do Tunisu, przedsiębiorąc tam sprawy handlowe. Chciał, żebym mu towarzyszył. Lecz ja byłem stały. Ciągnęło mnie do klasztoru tak, jak ciągnie inną młodzież do życia występnego. Powołanie moje było niezłomne.

„Udałem się do klasztoru w El-Largani i zaciągnąłem się na nowicyat do zakonu Trapistów. W wielkiej ciszy Trapistów, mniemałem, że znajdę więcej pola do modlitwy. Rzucając dom i udając się do El-Largani, wziąłem z sobą jednę tylko rzecz drogą. Był to Domini, krzyż drewniany, który przypięłaś do namiotu w Arbie. Dała mi go matka, a jam pozwolił sobie na zachowanie go. Reszta ziemskich rzeczy została, oczywiście, poniechaną przeze mnie.

„Nie widziałaś nigdy El-Largani, siedziby mojej w ciągu lat dziewiętnastu, więzienia mego przez rok. Jest ono samotne, lecz bynajmniej nie opuszczone. Położone na wzgórzu i z odległości spoziera ku morzu. Mnisi zamienili je, jeżeli nie na raj, to co najmniej na ogród przebogaty. Są tam winnice, pola zbożowe, sady, w których znajdują się prawie wszystkie gatunki drzew owocowych. Źródła wody słodkiej tryskają tam w obfitości. W niewielkiej odległości od klasztoru znajduje się duża wioska, zajęta przez kolonistów hiszpańskich, których doglądają mnisi przy uprawie pola. DCN.

# Wiadomości literackie.

## Polonica.

× Wiadomości, dotyczące książki o Sobieskim, szlachcica francuskiego Daleyrac'a (patrz Nr. 47 „Świata"), wymagają pewnego uzupełnienia. Pamiętnik, o którym pisaliśmy, jest wydaniem rozszerzonem pamiętników z r. 1696-go i wydany był w Amsterdamie, oraz w Paryżu w r. 1669. Wydanie amsterdamskie posiadają biblioteki: Branickich, Czartoryskich, Jagiellońska, Ossolińskich i Zielińskich; wydanie paryskie zaś znajduje się w bibliotekach: Czartoryskich, Ossolińskich, Przeździeckich i w Dzikowie. Nadto zaś w roku 1700 ukazało się wydanie holenderskie, oraz angielskie, które znajduje się w bibliotekach: Czartoryskich, Jagiellońskiej i Przeździeckich, wreszcie biblioteka muzeum Czapskich w Krakowie posiada francuskie i angielskie. Mamy i przekład polski tych pamiętników, wydany w r. 1883-cim w Krakowie przez Aleksandra Kraushara.

Autor wspomnień anegdotycznych, o których mowa, szlachcic francuski, Franciszek Paulin Dalerac, pisał się także Daleyrac, d'Aleyrac, Dallerac i Dalerak. W roku 1698 wydał pod nazwiskiem kawalera De Beaujeu: „*Mémoires du Chevalier De Beaujeu, contenant les divers voyages tant en Pologne, en Allemagne, en Hongrie depuis l'année 1679. Paris, 1698*". (Pamiętniki kawalera de Beaujeu, zawierające różne jego podróże zarówno w Polsce, w Niemczech jak na Węgrzech od r. 1679. Paryż 1698,) I te pamiętniki były podstawą do książki o Sobieskim. Następne ich wydania ukazały się w r. 1700 i 1702, a to ostatnie posiada biblioteka ordynacyi Zamoyskich w Warszawie.

## Z literatury włoskiej.

× *Enrico Castelnuovo.* „*I Moncalvi*" („*Rodzina Moncalvo*"). Treści do tej książki zaczerpnął, niezwykle płodny i bardzo w ojczyźnie swojej lubiany pisarz, z życia rodziny żydowskiej w dzisiejszym Rzymie. Dwaj bracia, Jakób i Gabryel Moncalvo, synowie zacofanych rodziców, poszli dwiema różnemi drogami. Jakób studyuje, i w chwili, gdy go poznajemy, jest profesorem matematyki w uniwersytecie rzymskim. Gabryel wcześnie wywędrował do Egiptu i zdobył tam, jako bankier, miliony. Odmienni pod każdym względem bracia spotkali się na jednym punkcie—obaj wyzbyli się wiary ojców; tylko, że uczony nie przyjął wiary innej, bankier zaś, ze względów towarzyskich, przeszedł na łono kościoła katolickiego. Jedyny syn Jakóba, Giorgio, który, jak ojciec, obrał karyerę naukową, zapałał oczywiście miłością do pięknej siostry stryjecznej Mariann'ny, jedynej córki Gabryela, która jednakże pragnie mitry książęcej. Jakoż poślubia ks. Cezarego Oroboni i wyjeżdża z nim w podróż poślubną do Palestyny. Giorgio zaś szuka ratunku dla swego złamanego serca w Indyach, gdzie oddaje się niebezpiecznym studyom bakteryologicznym.

Włosi lubią Castelnuova, nie przeszkadza im to jednak widzieć jego wad. Budowa jego powieści jest spoista, styl zajmujący, ale ludzie pospolici, powszedni, opisy środowiska, przyrody zbyt skromną— zwłaszcza w tej książce ostatniej—odgrywają rolę

TREŚĆ NUMERU 49-go.

Emilia Plater. *Wacław Gąsiorowski.*
Marzyciel. *Władysław St. Reymont.*
Ogród Allaha. *Robert Hichens.*
Wiadomości literackie.

PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową: **4** rb. rocznie, **2** rb. półrocznie; **1** rb. kwartalnie.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
Aleja Jerozolimska, № 49.

Redaktor i wydawca „Romansu i Powieści":
JÓZEF JANKOWSKI.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, ul. Zyblikiewicza № 8.

Druk Tow. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie.